Rok 1898. Lwów, dnia 14. marca. Nr. 11.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

WIEKI

(Legenda meksykańska).

Ziemia — to bryła, z którą ów bóg bezimienny,
Wyższy od wszystkich bogów, co noszą nazwiska,
Próby czyni dla twórczej swej myśli przestrzennej
I w coraz nowe kształty jej żywioły wciska.

Było pięć wieków świata, coraz światłem wyższych,
Było pięć słońc w szeregu odrodzeń i zniszczeń;
Było pięć ludzkich plemion coraz bóstwa bliższych,
Była kolej wciąż nowych myśli bożej ziszczeń.

Był naprzód wiek Nicości, kiedy słońce czarne
Mrokiem ziało w otchłanie, pełne embrjonów,
A w mroku wirowały mgły elementarne
Ku świtom niewiadomych żywotów i zgonów.

I był wir nieskończony, i wrzawa, i zamęt,
I parcie elementów, i ognia wybuchy:
Stawała się więc ziemia, woda i firmament,
Stawali się bogowie, i gwiazdy, i duchy.

I były to twory ślepe, głuche, ciemne,
Bez kształtów oznaczonych, bez granic widocznych:
Duch był zwierzęciem, zwierzę — wodą, głazy ziemne
Były wiatrem; bogowie byli z mgieł obłocznych.

Tak zmięszane żywioły walczyły ze sobą,
Zrodzone z mroku — mroku też były wyciosem,
I słońca żałobnego okryty żałobą —
Wiek nicości się nowym zakończył chaosem.

Był potem wiek płynnego żywiołu, wiek Wody,
Co przesiąknęła wszystkie okręgi natury,
I były jakieś wodne człowiecze narody
A słońce szaro-sine świeciło im z góry.

Nędzne to było plemię — pół wodnisto-płynne,
O oczach rybich, kształtach jaszczuro-wężowych,
A ich wnętrze duchowne, jakoby roślinne,
Drżało wciąż od zalewu fal oceanowych.

Wilgotne, zielonawe krzyły się rośliny,
A woda się z potęgą rozrastała bujną,
Aż naraz z głębi ziemi i z niebios wyżyny
Trysnęła wielkich deszczów ulewą podwójną.

Sto lat rzygała ziemia wodnemi potoki,
Sto lat rzucało niebo dżdżów olbrzymich strugi —
Bóg zmarszczył brew i nowe grobu dał wyroki —
I tak potopem świata skończył się wiek drugi.

Nowy wiek — nowe słońce zabłysnęło światu,
Nowe plemię człowiecze zaludniło ziemię:
Wiek Wichrów; słońce białe, jak śnieg lilji kwiatu
Oświeciło przedziwne, uskrzydlone plemię

Ród człowieczy dwunożny a razem powiewny,
Jak ptaki lub motyle zrodził się skrzydlaty
I latał, kędy wicher go unosił gniewny,
Płynąc ze skał na skały i z kwiatów na kwiaty.

A wiatry wyły wiecznie koleją bezładną
Z północy i południa, wschodu i zachodu,
I jak piórkiem rzucały skał masą bezwładną
I świat dyszał męczarnią spokojności głodu.

Ziarna płynęły z krańca świata w drugi kraniec,
A niebu królowały dzieci wiatru, ptaki,
Drwiąc z człowieka, co ni to powietrza mieszkaniec,
Ni to ziemi — ubóstwiał wichrowe skrzydlaki.

Ale owy ród, wiatru wiań nienasycony,
Ku ojcu swemu leciał: dmij, nieś nas ku górze!
I zwarły się samuny, zwarły akwilony
W jeden orkan, płynący na olbrzymiej chmurze.

I tak niesione wichrem wyspy, bory, skały —
Jako drobiny pyłu — leciały w rozwianem
Powietrzu i na ludzkie motyle padały:
I trzeci wiek się wielkim skończył huraganem!

Nie koniec tu prób Boga, który w ziemskiej glinie
Twórczą myśl swoją rzeźbił, purpurowe słońce
Zapalił na lazurów przeczystych wyżynie,
A Ziemia, jako bóstwo była panujące.

Głazy, rzucane wichrem w minionym okresie,
Natchnął Bóg swoim duchem i stworzył kamiennych.
Potężnych ludzi, których wicher nie uniesie,
Ani woda zaleje w przepaściach bezdennych.

Lecz twardy był duch ludu, zrodzonego z głazów:
Ponury był wiek ziemi. Tedy bóg posady
Ziemi samej poruszył i wewnętrznych gazów
Wezwał moc, by płynęły widziadłem zagłady.

I oto za straszliwem brwi boskiej zmarszczeniem
Poruszyły się wnętrza, i głębie, i szczyty
Ziemi wszystkiej, co własnem wstrząsana trzęsieniem,
Niby w spazmach targała własnej osi nity.

Trzęsienie wnętrzy własnych, wszystkie ziemi kąty
Wzburzyło i ogromne wznieciło w niej żary,
I od tych nowych ogni wiek się zaczął piąty —
Piąte słońce — i piąte ludzkich istot gwary.

Ogień więc stał się globu treścią i istotą.
Naprzód mały od środka rósł wciąż do skorupy,
I słońce tarczą ognia zapłonęło złotą,
I ogień jął przenikać w ludzie kręgosłupy!

Wówczas świat, własnym ogniem płonący wewnętrznym
I ozłocony słońca blaskiem promienistym,
Stał się od kwiatów barwnym i od pieśni dźwięcznym,
I od stepów zielonym, i od rzek przejrzystym.

Czyszczący żywioł ognia uznaczył granice
Skał i rzek, gór i lasów, zwierza, ptaków, płazów,
I ludzi... I swe iskry wlał w ludzkie źrenice
I dusze im rozpalił tęczą swych obrazów.

Wszystkie dawnych okresów globu elementa:
Mrok, będący porywem ku światła promieniom,
Woda, z której potęga życia jest poczęta,
Wicher, dający rozpęd czuciom i pragnieniom,

Wreszcie głaz, który wolę wlewa niewzruszoną
W ducha, iż ów jak skała trwa niepokonany —
Zlane z ogniem człowiecze przesiąknęły łono
I stworzyły Azteków wielki ród miedziany.

I stworzyły kolibra, ognistą ptaszynę,
Co przez mroki i wichry, przez wody i skały
Prowadził lud Azteków na ową dolinę,
Gdzie później meksykańskie bogi zamieszkały.

I był świat, jako ogród o wieczystej wiośnie,
Ale nad nim, jak zmora, stoi widmo grobu:
Bowiem ogień wewnętrzny nieustannie rośnie,
Aż się ten wiek zakończy wszechpożarem globu.

Będzie pożar planety — stupiorunna łuna,
W zmierzchu dni — jednem krwawem gorejąca kołem,
Gorsza mroku, potopu, trzęsienia, samuna,
Aż cały glob nikczemnym stanie się popiołem.

I na proch się rozpadnie — i w otchłań rozproszy.
Więc, by mógł się nanowo odrodzić za wieki —
Czuwajcie! i, wzgardziwszy kielichem rozkoszy —
Trwajcie w surowej cnocie i w modłach Azteki...

O

A. Lange.



ARTUR SCHNITZLER

POŻEGNANIE.

Dokończenie.

Posługacz czekał już na rogu, gdy Albert wieczorem tam nadszedł. Dziś prócz zwykłych wskazówek nakazał mu jeszcze, by o ile możności jak najdłużej starał się rozmawiać z pokojówką i dowiedział się, co właściwie pani jest. Trwało też dłużej niż dnia poprzedniego zanim człowiek ukazał się napowrót, i Albert już się począł niecierpliwić. Wreszcie po kwadransie posługacz wyszedł.

— Wielmożnej pani podobno bardzo źle...

— Co? — krzyknął Albert.

— Z wielmożną panią bardzo źle — powtórzył posłaniec.

— Zkąd ty wiesz o tem? Kto ci to powiedział?

— Pokojówka mi mówiła, że pani niebezpiecznie chora. Dziś aż trzech doktorów przychodziło, a wielmożny pan nic, tylko cały dzień desperuje.

— Dalej... dalej... a co pani brakuje? Nie pytałeś się?

— A, rozumie się, że pytałem. Tyfus podobno, a wielmożna pani już od dwóch dni nic o bożym świecie nie wie.

Albert przystanął na chwilkę i jak obłąkany patrzył przed siebie — potem zapytał:

— No a więcej nic już nie wiesz?

Człowiek znowu począł prawić swoje od początku, a Albert chciwie chwytał każde słowo, jakgdyby mu ono wielką nowinę przynosiło. Potem zapłacił posługaczowi i wrócił na „jej“ ulicę. Teraz mógł już spokojnie przechadzać się pod bramą, ktoby się tam troszczył o niego? I znowu wzrok utkwił w jej szyby, tak jakgdyby chciał nim przebić wszelkie zapory i dostać się do niej. Więc to był pokój chorej? Samo przez się wydało mu się zrozumiałe, że tam, za temi cichemi firankami spoczywać musiała ona, ciężko chora... Że też mu

to odrazu, pierwszego wieczora, na myśl nie wpadło! Teraz widział że nawet inaczej nie może być. Wtem jakiś powóz zajechał przed dom, Albert poskoczył naprzód i zobaczył jednego z najznakomitszych lekarzy, wysiadającego. Lekarz znikł w bramie, a młody człowiek stanął całkiem blisko domu i czekał powrotu jego z niewyraźną nadzieją w sercu, że może mu się uda chociażby z twarzy jego o czemś się dowiedzieć. Stał więc przez parę minut nieruchomy jak głaz i nagle ziemia zaczęła się pod nim zwolna podnosić, a potem równie wolno znów opadła. Wtedy się spostrzegł, że mu się oczy przymknęły, a gdy je otworzył wydawało mu się, że usnął przed bardzo, bardzo dawnym czasem — a teraz się budzi rzeźki i odświeżony. Teraz wierzył wreszcie, że ona ciężko zachorowała, ale żeby aż niebezpiecznie? Nie! Taka młoda, taka piękna, tyle kochana! I znowu przez głowę mu przemknęło słowo: „Tyfus"... Nie wiedział teraz dobrze co to jest takiego, tylko sobie przypominał, że słowo to czytał często w spisach zmarłych, jako przyczynę śmierci. Przedstawił sobie teraz jej imię i nazwisko wydrukowane w gazecie, a obok tego: „Umarła 10go sierpnia na tyfus". Nie, to niemożliwe, absolutnie niemożliwe... teraz, gdy sobie to już tak jasno wyobraził widzi, że to jest zupełnie a zupełnie niemożliwe... Przecie to być nie może, żeby on widział rzeczywiście te słowa wydrukowane za parę dni...' Myślał teraz, że mu się udało zakpić sobie z losu. — Doktor w tej chwili wyszedł z bramy. Albert prawie zapomniał był o nim — teraz aż mu dech zaparło z przerażenia. Ale rysy lekarza były zupełnie spokojne, choć poważne; podał stangretowi adres, potem wsiadł do powozu i odjechał. — „Diaczego właściwie jego samego nie zapytałem?" — pomyślał teraz Albert. Po chwili jednak uczuł coś, niby radość, że tego nie uczynił. Kto wie? może właśnie byłby coś złego usłyszał? Tak przynajmniej pozostaje mu nadzieja... Zwolna oddalił się od bramy i postanowił sobie, że przed upływem godziny tam nie powróci. I nagle spróbował wyobrazić sobie jak to będzie, gdy ona po wyzdrowieniu pierwszy raz go odwiedzi... Obraz był tak wyrazny, że go to aż zadziwiło. Wiedział nawet, że tego dnia będzie padał drobny gęsty deszczyk a całe niebo będzie jednostajnie szaremi zasnute chmurami: ona zaś ma na sobie szeroki ciemny płaszcz, który jej już w przedpokoju z ramion opada i rzuca się w jego objęcia — a tylko płacze i płacze. — „Oto mnie masz znowu" — szepce wreszcie... Wtem, wzdrygnął się... Ależ to się nigdy, nigdy nie stanie — teraz znowu los z niego sobie zakpił!... Ona już nigdy więcej do niego nie powróci — przed pięciu dniami była po raz ostatni w jego mieszkaniu, a on jej pozwolił odejść i nie wiedział nawet, że jej daje odchodzić na zawsze.

I znowu zaczął biedz ulicami, jakgdyby pragnął uciec przed myślami, które mu w głowie szalały. Tęsknił formalnie za tem by już raz utracić przytomność... Po chwili stanął ponownie przed jej domem, brama była otwarta, w oknach światło... Spojrzał w górę i uciekł. Czuł, że gdyby przez chwilę jeszcze tak patrzył, toby musiał pójść tam do niej, wpaść do tej jasnej sypialni, uklęknąć przy łóżku chorej kochanki... I zwykłym swoim zwyczajem musiał i tę myśl wysnuć do ostatka. Ujrzał tedy jak jej mąż, który odrazu wszystkiego się domyślił, rzucił się na biedną kobietę i krzyknął jej do ucha: — „Patrz, przyszedł Twój kochanek — jest już przy tobie!"... Ale ona już nie żyła...

W ciężkich snach przeszła mu noc, w równie ciężkiem znużeniu dzień następny. Już o jedenastej zrana wysłał posłańca z zapytaniem o jej zdrowie. Teraz śmiało mógł to uczynić, kogo tam obchodzili ludzie, którzy przez dzień cały o nią się dopytywali... Wiadomość najświeższa brzmiała: „Stan zdrowia niezmieniony". Przez całe poobiedzie leżał jak zwykle na otomanie i zastanawiał się nad sobą samym, ale nie wiele mógł z siebie zrozumieć. Tak mu wszystko było obojętne myślał sobie tylko: „Jakże to jednak ładnie, że taki jestem zmęczony... Zresztą przez większą część tego czasu spał. Ale gdy się ściemniło, porwał się nagle z pewnego rodzaju zdziwieniem, jakgdyby teraz dopiero znikł z jego duszy ten straszny chaos i wstąpiła weń jasność. I opanowała go niewymowna tęsknota za nią, za jakiemś słówkiem choćby, jakimś znakiem życia... Dziś musiał koniecznie przynajmniej pomówić z lekarzem. Pośpieszył przed jej dom. Stróżowa stała właśnie przed bramą, przystąpił więc do niej i zapytał:

— A cóż tam robi ta pani na górze?

— O, z nią będzie bardzo źle — odpowiedziała kobieta — ona już chyba nie wstanie...

— Ach, czy być może? — odrzekł bardzo uprzejmie Albert i dodał: — Jakaż to jednak szkoda!

— A pewnie, wielka szkoda, taka młodziutka, śliczna pani!.. — Przy tych słowach cofnęła się do sieni.

Albert patrzył za nią. — No, ta chyba nic po mnie nie poznała — pomyślał sobie i w tej samej chwili począł się zastanawiać, czyby też nie mógł spróbować dostać się jakoś do niej, skoro tak dobrze umie udawać... Tylko trzeba jeszcze coś wymyślić. Dorożka z lekarzem w tej chwili zajechała; Albert się ukłonił, a lekarz grzecznie uchylił kapelusza. To mu było przyjemnie, wydawało mu się, że już przez to zawarł pewnego rodzaju znajomość z lekarzem i mógł prędzej zapytać go o chorą.

Stał więc teraz pod bramą, czekając jego powrotu, uspokojony nieco myślą, że może przecie teraz pomoc jest możliwa... Długo nikt się nie zjawiał... Więc jeżeli tak, to z pewnością jest jeszcze jakaś deska ratunku... zapewne jakiegoś nowego środka próbują?... A może to już agonja?.. Albo... Ach, precz, precz!... Chciał odegnać wszystkie myśli, ale nadaremnie... wszak tu wszystko było możliwe, więc wszystko mógł przypuszczać! Nagle wydało mu się wyraźnie, że słyszy słowa doktora: „To kryzys nadchodzi". Mimowoli spojrzał w górę. Rozważał teraz na serjo, czy nie byłoby możliwem pod pewnymi warunkami, naprzykład, gdy zmysły są w najwyższym stopniu naprężone i wskutek tego zaostrzone, usłyszeć na dole słowa człowieka mówiącego na pierwszem piętrze. Ależ naturalnie, że można, bo przecież on słyszał — słyszał wyraźnie każde słówko, nie tak, jak się słyszy wyobraźnią, ale rzeczywiście... Lecz już w tej samej chwili wyszedł lekarz z bramy. Albert postąpił krok naprzód, a doktor, który go może uważał za jakiegoś członka rodziny, potrząsnął głową, jakgdyby w odpowiedzi na niewymówione zapytanie. Ale Albert tej odpowiedzi nie chciał rozumieć i zaczął mówić:

— Czy mi wolno zapytać, panie profesorze jak...

Lekarz wsiadał już do powozu i znowu potrząsnął głową.

— Bardzo źle — odpowiedział i z litością spojrzał na młodego człowieka. — Pan jesteś bratem, prawda?

— Tak... — rzekł Albert.

Lekarz raz jeszcze popatrzył na niego, potem mu skinął głową i odjechał.

Albert rozpaczliwie spoglądał za powozem niknącym w oddali, i tak mu było, jakgdyby z tym powozem nikła ostatnia jego nadzieja. Potem i on odszedł. Mówił sam do siebie zdania bez związku, bez sensu niemal, a zęby dzwoniły mu przytem jak w febrze... A więc co począć teraz? Wyjechać na wieś? To już zapóźno... chyba... Tak, stanowczo zapóźno... Jestem bardzo smutny teraz. Czy aby tylko doprawdy jestem smutny? Czy jestem zgnębiony do żywego? — Ależ nie, ja się wcale nie martwię! Ot, teraz chodzę sobie na

spacer całkiem obojętnie i nic przy tem nie czuję, nic zgoła... Mógłbym nawet pójść do teatru albo wycieczkę zrobić... O nie! to mi się tylko wydaje, to wszystko szaleństwo, ja doprawdy jestem głęboko wzruszony... Więcej niż wzruszony — w rozpaczy jestem! Jaki ja wielki jestem, jak wielka ta chwila we mnie!... Że też nie mogę jej zatrzymać!.. Rozumieć coś dokładnie i nic przy tem nie czuć — nic — nic...

Dreszcz go przeszedł...

Musiałem już kiedyś przeżyć coś podobnego... ale kiedy? Może we śnie?.. No! do domu, do domu. Tak, powrócę teraz do domu, jak każdego wieczora, tak jakgdyby się nic nie stało, najmniejsza zmiana nie zaszła... Ale cóż znowu? ja to w siebie wszystko tylko wmawiam, przecież nie będę mógł zostać w domu, tylko wśród nocy wstanę i pobiegnę przed dom kochanki. Mojej, mojej umierającej... kochanki!..

Znów dreszcz nim wstrząsnął.

Nagle znalazł się u siebie w mieszkaniu i żadną miarą nie mógł sobie uprzytomnić, jak się tam dostał właściwie. Zaświecił lampę i siadł na otomanie. „Już wiem teraz dlaczego tak cicho we mnie: żal puka do mnie i puka, a ja go nie wpuszczam. Bo nie chcę. Ale widzę, że tam stoi za drzwiami, i zagląda do mnie przez okienko, doskonale go widzę... Ach jakież to głupie... jakie głupie! Więc moja kochanka umrze... z pewnością umrze! A może ja w głębi duszy mam jeszcze jakąś nadzieję i dlatego jestem taki spokojny? Nie — zupełnie jestem pewny jej śmierci. A lekarz myślał, że jestem jej bratem. Gdybym mu tak był odpowiedział: „Nie panie, jestem jej kochankiem", albo „jestem jej Seladonem, jej nieszczęśliwym, ginącym z bolu Seladonem"...

— Boże miłosierny! — jęknął. Podskoczył nagle z siedzenia i jak nieprzytomny biegał po pokoju... — Otworzyłem mu, otworzyłem mu i wpuściłem do środka żal! A teraz on jest we mnie! Anno! moja jedyna, najsłodsza, ukochana Anusiu! Że mnie przy tobie nie ma! Właśnie mnie nie ma, mnie tam być nie wolno, a ja jestem jedyny, którego ci potrzeba, który przy tobie być powinien... Może ona wcale nie jest bezprzytomna... cóż my wogóle możemy wiedzieć o takich rzeczach... i teraz tęskni za mną, woła mnie! A mnie nie wolno tam pójść! A może później, kiedy zerwie już wszystkie pęta wiążące ją z ziemią, kiedy nie będzie już znała żadnych ziemskich praw ani względów, to może im to powie, szepnie może: „Zawołajcie go do mnie, chcę go jeszcze raz widzieć!" A co on wtedy pocznie?

Po chwili znów miał całą scenę przed oczyma. Widział siebie wbiegającego po schodach na górę, jej mąż go przyjął i sam go poprowadził do łóżka chorej, która uśmiechnięta wyciągnęła ku niemu rękę i patrzyła nań gasnącemi oczyma. On pochylił się nad nią i utonęli w długim uścisku jak dawniej, a w chwili gdy powstał, ona wydała ostatnie tchnienie... Wtedy mąż przystąpił do niego i rzekł: „Myślę, że teraz pan już może odejść, ale wkrótce będziemy z sobą mieli więcej do pomówienia"...

Ale tak się niestety w życiu nie dzieje... Wszak to by była najpiękniejsza chwila dla niego, zobaczyć ją raz jeszcze — uczuć, że go kochać nie przestała... Czy nie przestała?... Musi ją widzieć koniecznie w jakikolwiekbądź sposób... na miłość boską, przecież to niemożliwe, żeby on jej dał umrzeć i nie starał się już ani razu jej zobaczyć. To zbyt okropne! Nie śmiał nawet pomyśleć o tem. Tak, ale co począć?... Teraz już dwunasta godzina minęła...' — Pod jakim pretekstem mógłbym też wejść tam do niej? zapytał się siebie. Ale czyż mi teraz pozorów jeszcze potrzeba, teraz kiedy śmierć... Lecz nawet gdyby ona... umarła, czy ja mam prawo zdradzić jej tajemnicę, skalać jej pamięć u męża, u rodziny?... Mógłbym może udawać warjata!... Tak dobrze umiem udawać... Boże mój! cóż to znowu za pomysł komedjancki?... Co prawda, to gdybym tak po mistrzowsku rolę odegrał, i na całe życie został zamknięty w domu obłąkanych... Albo gdyby ona wyzdrowiała i potem sama powiedziała, że jestem warjatem, którego nigdy w życiu nie widziała ani nie znała?... O moja głowa!... moja głowa!... Rzucił się na łóżko. Teraz dopiero uświadomił sobie spokój i ciszę nocy, jaka go otaczała.

— Postaram się rozmyślać o wszystkiem spokojnie — mówił do siebie. — Zobaczymy jeszcze... ale w każdym razie...

I dalej gnały myśli jego. Widział siebie skradającego się do jej mieszkania w najrozmaitszych przebraniach, raz jako asystent lekarza, to jako chłopiec z apteki, jako lokaj, to znów jako żebrak, wreszcie nawet zobaczył siebie w przebraniu szwajcara z zakładu pogrzebowego, jak siadł przy łóżku zmarłej, której mu nawet znać nie było wolno, potem ją otulił białym całunem i położył w trumnie...

Obudził się wczesnym rankiem. Okno zostało było otwarte przez noc całą, więc choć leżał w ubraniu, było mu trochę chłodno, bo na dworze padał drobny deszcz, a wiatr czasami wpędzał krople do pokoju.

— To już jesień... — pomyślał sobie Albert. Potem wstał i popatrzył na zegarek. — Pięć godzin twardo spałem. Przez ten czas mogło... wiele zajść. Dziwna rzecz, tak się dręczyłem, a w tej chwili już wiem dokładnie, co mam zrobić. Pójdę sam teraz aż do drzwi mieszkania, kołnierz podniosę wysoko, żeby mnie nikt nie poznał i... zapytam się... sam...

Nalał sobie lampkę koniaku, który szybko wychylił. Podszedł do okna. — Pfe, jak brzydko wyglądają ulice. Jeszcze bardzo wcześnie... Teraz wychodzą tylko sami tacy ludzie, którzy już o siódmej mają coś do czynienia. I ja dziś jestem takim człowiekiem, mam także robotę o siódmej. Doktor powiedział, że jej bardzo źle... Tak — ale z tego, co mówią doktorzy, jeszcze nikt nie umarł... A jednak dlaczego ja wczoraj bezustannie miałem takie uczucie, jakgdyby ona... już... No, w drogę, w drogę. Włożył płaszcz, wziął parasol i wyszedł do przedpokoju. Służący jego zrobił bardzo zdziwioną minę.

— Wrócę niedługo... — powiedział mu i odszedł.

Stawiał drobne kroki i starał się iść bardzo wolno. Właściwie żenowało go pójść tam na górę. Co też właściwie wypada powiedzieć?

Coraz bardziej zbliżał się do celu; już był na jej ulicy, widział dom w którym mieszkała. Ten dom wydawał mu się jakiś obcy. Co prawda, o takiej porze jeszcze nigdy go nie widział. Jakie też dziwne światło, ten szary, chmurny dzień rozlewał nad miastem. Tak — w takie dni się umiera... Gdyby choć Anna była się z nim pożegnała inaczej, owego dnia kiedy po raz ostatni go odwiedziła, to, kto wie? możeby już do tej pory zapomnnił o niej... Tak, z pewnością, bo to strach, jak on jej już dawno nie widział — tak mu się przynajmniej wydaje. Dziwna rzecz, jak taki poranek deszczowy zmienia usposobienie człowieka, do tego stopnia, że się aż nabiera pod wpływem tego zupełnie fałszywego wyobrażenia o czasie. Ach Boże mój!

Albert czuł się bardzo zmęczonym, bardzo rozstrojonym... Niewiele brakowało a byłby minął dom, do którego miał wstąpić.

Brama była otwarta, wychodził z niej właśnie mały chłopak z blaszankami od mleka w ręku. Albert spokojnie zupełnie szedł ku schodom. W chwili gdy wstępował na pierwsze stopnie, zaświtała w nim jasna świadomość tego wszystkiego, co się stać miało, co się tu działo teraz, i o czem się chciał dowiedzieć. Miał wrażenie, jakgdyby drogę aż dotąd odbył

w półśnie i w tej chwili dopiero się ocknął. Obiema rękami chwycił się za serce zanim postąpił dalej. Na schodach było jeszcze nawpół ciemno, płonął tylko drobny płomyczek gazowy. Tu na pierwszem piętrze znajduje się jej pomieszkanie. A to co? Drzwi na oścież otwarte. W przedpokoju nie ma żywej duszy. Otworzył małe drzwiczki w bocznej ścianie się znajdujące i wszedł do kuchni. I tu nikogo nie było. Przez chwilę stał niezdecydowany. Wtem otworzyły się drzwi z głębi i cicho weszła służąca, nie spostrzegając jednak Alberta. Przystąpił do niej.

— Jak się ma wielmożna pani?

Pokojowa popatrzyła na niego bezmyślnie.

— Przed pół godziną umarła...

Przy tych słowach odwróciła się i poszła. Albert stanął w drzwiach przedpokoju. Zdawało mu się, że na świecie teraz wszystko ucichło i umilkło, czuł wyraźnie, że w tej sekundzie nagle wszystkie serca przestały bić, ludzie przestali mówić, powozy nawet przestały jechać a zegary stanęły. Coś mu mówiło, że ten świat cały znajdujący się w ciągłym ruchu, tętniący ciągłem życiem, przestał nagle poruszać się, żyć. A więc tak wygląda śmierć! — pomyślał... Wczoraj jeszcze dobrze tego nie rozumiałem.

— Przepraszam! — odezwał się jakiś głos obok niego. Był to jegomość czarno ubrany, któremu Albert, stojący nieruchomo na progu, przeszkadzał wejść do przedpokoju. Albert cofnął się w głąb i pozwolił przejść panu, który nie oglądając się na niego, szybko poszedł dalej. Drzwi pozostawił za sobą otwarte. Teraz mógł już Albert zaglądnąć do następnego pokoju; było tam prawie ciemno, firanki zapuszczone na okna, więc tylko niewyraźnie widział kilka postaci siedzących naokoło stołu. Gdy obcy pan wszedł, rozpoczęły się powitania i szepty, potem wszyscy razem wyszli do jednego z przyległych pokoi. Tam pewnie ona leży poza temi drzwiami, pomyślał sobie Albert, a jeszcze nie minął tydzień jak w mojem objęciu... I mnie nie wolno tam wejść. Na schodach odezwały się głosy. Dwie kobiety wstępowały na górę, niebawem przeszły obok niego. Jedna z nich, młodsza, miała zaczerwienione od płaczu oczy. Albert przyglądał się jej uważnie; była trochę podobna do jego kochanki — to pewno jej siostra, o której parę razy opowiadała. Jakaś starsza dama wyszła do obydwu kobiet i uścisnęła je, płacząc przytem z cicha. „Przed pół godziną — powiedziała — tak nagle"... Dalej nie mogła mówić, bo ją łzy dławiły. Wszystkie trzy wstąpiły znowu do pół-ciemnego pokoju, a potem znikły za drzwiami w głębi. Na Alberta nikt nie zważał.

— Tak przecie tu zostać nie mogę — pomyślał sobie. Pójdę na dół a za godzinę wrócę. Oddalił się; po kilku chwilach był znów na ulicy. Ruch się już rozpoczął na dobre, wiele ludzi mijało go śpiesznie... wozy toczyły się...

Za godzinę będzie więcej osób na górze, to i mnie łatwiej przyjdzie wmięszać się między nich. Najgorsza rzecz, to jednak niepewność!... Dziś naprzykład o wiele lepiej się czuję niż wczoraj, pomimo, że ona umarła... Przed godziną!... Za tysiąc lat także nie będzie dalszą życia niż teraz... a jednak świadomość, że ona przed godziną jeszcze oddychała, wywołuje we mnie wrażenie, że ona i teraz jeszcze musi coś pamiętać o swojem istnieniu, coś, czego się nie przypuszcza nawet, póki się czuje życie w piersi... może ta nieuchwytna chwila, w której przekracza się granicę między życiem a śmiercią, stanowi właśnie całą naszą biedną wieczność?... Tak... otóż skończyło się raz na zawsze poobiednie wyczekiwanie... Nie będę już stał przy drzwiach przedpokoju — nigdy — nigdy... Te godziny stanęły mu teraz przed oczyma i wydały się bezmiernie piękne. Przed kilku dniami jeszcze taki był szczęśliwy, taki szczęśliwy! Była to głęboka rozkosz, choć taka ciężka i duszna!... Ach, kiedy jej kroki odzywały się na schodach... kiedy rzucała mu się w objęcia... i kiedy później w przyciemnionym pokoju wśród atmosfery pełnej woni kwiatów zmięszanej lekko z dymem papierosów spoczywali oboje na białych poduszkach — bez słów — bez ruchu... Minęło już to wszystko, minęło bezpowrotnie!...

— Wyjadę, to jedyne, co mi pozostaje. Czy też wogóle będę miał odwagę przestąpić próg mego pokoju? Nie — nie powstrzymam się od płaczu, przez dzień cały i przez noc całą wciąż będę płakał za nią, płakał bez końca...

Przechodził właśnie obok kawiarni... Przypomniał sobie, że właściwie od wczorajszego obiadu nic jeszcze w ustach nie miał, i wszedł na śniadanie. Gdy opuszczał lokal, było już po dziewiątej. — No teraz znowu mogę tam pójść — muszę ją przecie raz jeszcze zobaczyć — tylko, co ja tam będę robił?.. I czy mi się uda ją widzieć?... Ale, co tam! muszę ją widzieć, muszę koniecznie... Moją złocistą, moją jedyną, ukochaną Annę — moją najdroższą... zmarłą... kochankę muszę zobaczyć... Ale czy mnie wpuszczą tam do niej? Zapewne, zapewne... będzie tam przecie więcej jeszcze ludzi i wszyskie drzwi będą stały otworem.

Pośpieszył w tamtą stronę. Przy bramie stała stróżowa i przywitała go. Na schodach wyprzedził dwóch panów, którzy również szli na górę. Już w przedpokoju stało parę ludzi, a wszystkie drzwi w samej rzeczy były otwarte. Albert wszedł. Teraz story w jednem z okien były nieco podniesione i wąska smuga światła wpadała do pokoju. Znajdowało się w nim około dwunastu ludzi, którzy stali, lub siedzieli i rozmawiali coś szeptem ze sobą. Starsza dama, którą Albert już przedtem widział, siedziała wtulona w kąt ciemno czerwonej kanapy, apatyczna, bezwładna, jakdyby złamana zupełnie bólem. Gdy obok niej przechodził podniosła głowę i spojrzała na niego, przystanął więc na chwilę i podał jej rękę. Ona skinęła głową i znów płakać zaczęła. Albert się rozglądnął. Drzwi w głębi były teraz zamknięte, zwrócił się więc do jakiegoś pana stojącego przy oknie.

— Gdzie ona leży? — zapytał.

Pan ręką wskazał na prawo.

Albert ostrożnie otworzył boczne drzwi, i cofnął się trochę, olśniony zrazu białem światłem, które się tam rozlewało. Był to pokoik mały, zgrabny, jasny, obicie na ścianach białe ze złotem, meble blado-niebieskie. Nikogo tam nie było. Drzwi do sąsiedniego pokoju były tylko przymknięte, uchylił je i wszedł do jej sypialni.

Okiennice były zamknięte, z sufitu zwieszała się kolorowa lampa. Na łóżku wyciągnięta leżała jego martwa kochanka. Kołdra przykrywała ją aż po szyję; u głów, na stoliku paliła się świeca, a blask jej jaskrawy padał wprost na pożółkłą twarz zmarłej. Gdyby nie wiedział na pewno, że to ona, nie poznałby jej nawet. Dopiero powoli, stopniowo, wpatrując się dokładniej w jej twarz, spostrzegać zaczął jakieś podobieństwo... Tak, to jego Anna leżała tuż przed nim — jego Anna — nieżywa. Po raz pierwszy od całego tego czasu, pełnego żalu i udręczeń, poczuł łzy cisnące mu się do oczu. Dziki, palący ból tłoczył mu piersi... chciałby módz krzyczeć głośno, paść na ziemię przed nią, stopy jej całować... Teraz dopiero spostrzegł, że nie jest z nią sam w pokoju. Ktoś klęczał u stóp łóżka z głową ukrytą w fałdach pościeli i obiema rękami kurczowo ściskał dłoń zmarłej. W chwili gdy Albert chciał postąpić o krok naprzód, tamten podniósł głowę i błędnemi oczyma, czerwonemi od płaczu, popatrzył mu w twarz... Był to mąż. „Co ja mu teraz powiem?" pomyślał Albert. Ale w tej samej chwili, mąż jego kochanki pochwycił prawą rękę jego, uścisnął ją i głosem zdławionym łzami szepnął: „Dziękuję, dziękuję"

Potem znowu się odwrócił, głowę opuścił na pościel i łkał z cicha. Albert stał jeszcze przez chwilkę i oglądał twarz martwej z pewnego rodzaju chłodną uwagą. Łzy już go nie paliły więcej, stłumił je. Cała jego boleść wydała mu się teraz jakaś niby sucha i nieprawdziwa. Przeczuwał że mu się ta sytnacya obecna kiedyś wyda przerażającą i komiczną zarazem. Nie mógłby za żadną cenę płakać tu razem z tym drugim — na samą myśl o tem, śmiać mu się chciało.

Zwrócił się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się raz jeszcze i oglądnął na nią. Migotanie świecy sprawiło, że mu się wydawało jakoby uśmiech zaigrał na jej ustach. Skinął głową w jej stronę niby na pożegnanie — może ona to widzi?

Chciał już odejść ale zatrzymał go w miejscu ten dziwny, martwy uśmiech. A teraz stał się ten uśmiech taki zimny, pogardliwy, obcy i coś zaczął przemawiać do niego, co Albert bardzo dobrze rozumiał. A uśmiech tak mówił: „Widzisz, ja tak ciebie kochałam, taka byłam twoja własna, a teraz ty stoisz przy mnie, niby obcy i wypierasz się mnie. Ależ powiedz mu, że ja twoją byłam, nie jego, że to twoje prawo uklęknąć tu przed tem łóżkiem i ręce moje całować! No powiedz! Dlaczego nie chcesz mówić?!..

Ale on nie miał na to odwagi. Ręką zasłonił oczy, ażeby jej uśmiechu nie widzieć... Na palcach pocichutku wyszedł, drzwi przymknął za sobą i dalej szedł, choć dreszcz nim wstrząsał. Minął jasny salonik, niespostrzeżony przesunął się w ciemnym pokoju wśród ludzi którzy tam stali, a pomiędzy którymi jemu pozostać nie było wolno, wreszcie pośpieszył przez kurytarz, zbiegł ze schodów a gdy już był na dole, to chyłkiem mknął ulicami, przyspieszając coraz kroku, jakgdyby się starał uciec z pobliża jej domu. Szedł trwożliwy i zawstydzony głęboko, a prześladował go jej uśmiech, który mu powiadał, że mu nie wolno żałoby za nią nosić jak innym, ani opłakiwać jej jak opłakują inni, bo go martwa kochanka tym uśmiechem wypędziła precz od siebie, za to, że jej się wyparł w obliczu śmierci...



ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

„Przypisek. Masz powiedzieć twemu stryjowi, że pieniądze, o których pisał, przyjdą, skoro je twój ojciec zeskrobie, ale się spytaj, czy przy kiepskich czasach nie możnaby tego zrobić taniej i proś stryja Andersa, aby pomówił kilka słów z tym, który ma coś do gadania sołtysom, poborcom podatkowym i kapitanom, gdyż jestto prawdziwe świństwo w Svartemoor, jak sama wiesz i możesz poświadczyć, ale teraz jest jeszcze gorzej jak było.“

Gdy listonosz przyniósł ten list, stała Krystyna w fartuchu i szorowała drzwi kuchenne, albowiem chociaż była służąca, Krystyna sama wykonywała znaczną część pracy domowej.

Listonosz przyniósł także listy i gazety dla Bennechenów, które zwykle oddawano u portjera.

Alfred Bennechen zeszedł na dół, aby się udać do biura, lecz gdy zobaczył pocztę, leżącą na stole u portjera — drzwi były zawsze otwarte w dniu, w którym robiono porządki — postanowił natychmiast skorzystać z tej sposobności.

Krystyna stała dalej spokojnie. zobaczywszy, kto to jest. Wrzuciła wiecheć do kotła i wsadziła silne białe ręce głęboko do brudno-szarej wody. Następnie wyżęła wiecheć, położyła na niego sporą garść piasku i szorowała dalej drzwi, jakby chodziło o zmycie całej farby.

— Dzień dobry, panno Krystyno! — zawołał Alfred, kręcąc się wesoło po pokoju; gdy jednakowoż spostrzegł, jak małe wrażenie wywarła jego niespodziewana wizyta, zafrasował się i ciągnął dalej:

— Pozwól mi pani przejrzeć pocztę; może jest tam list od mojej najdroższej...

Ale nawet i to zdawało się nie wywierać żadnego wrażenia. Nieznośne szorowanie drapało mu uszy: nie podobało mu się, że w takiem ubraniu, przy tak pospolitej robocie czuła się tak dobrze — i że nawet nie zażenowała się wcale.

Dwóch mężczyzn przeszło na ulicy obok jednego z okien. Alfred spojrzał.

— Widzi pani, to pani stryj ... i naturalnie — Jan ... miał właśnie najlepszy zamiar zawrócić do bramy. Mój brat jest zapewne częstszym gościem tu w piwnicy, niż tam na górze? Co?

Gdy kię jednak odwrócił, spostrzegł, że Krystyna pochwyciła szybko kubeł, poszła z nim do kuchni i zamknęła drzwi za sobą.

Zgniewany rzucił gazetę i wyszedł. Na schodach spotkał go Mo, który go powitał na pół z szacunkiem. na pół poufale.

Stryj Anders przeglądnął pocztę i wyszukał listy, które miał zanieść ministrowi do biura. Spostrzegłszy list naczelnika pilotów do Krystyny, zawołał ją.

— Ty Krystyno — rzekł poważnie, oddając jej list — muszę pomówić z tobą o jednej rzeczy. Oni tu coś za często do ciebie przychodzą, ci synowie ministra.

— Drzwi stały otworem i wtedy wszedł kandydat.

— Tak, ja też nie myślę tak bardzo o Alfredzie; ale ten doktor. widzisz...

— Tego tutaj nie było — odparła Krystyna szybko.

— Nie, ale zauważyłem, że był w drodze tutaj. Tak, widzisz, kochana Krystyno — ciągnął dalej przyjaźnie i położył jej rękę na ramieniu, a Krystyna była wyższa od niego

— życie w wielkiem mieście prowadzi młodą dziewczynę nieraz na pokuszenie. Prócz tego musisz uwzględnić, że wszystko zawdzięczam Bennechenom i bardzoby mi było nieprzyjemnie, gdyby mieli jakąś przykrość, której przyczyną byłbym ja, albo też ktoś z moich. Może jeszcze tego nie rozumiesz, ale proszę cię, bądź ostrożna i trzymaj się tych, którzy ci dobrze życzą.

Poklepał ją po policzku i poszedł z listami.

Nie, nie rozumiała tego, a przynajmniej niezupełnie. Przeczuwała coprawda, iż stryj sądził, że ci młodzi panowie przychodzą dla niej. Ale z jakiego powodu mogłoby to być nieprzyjemnem Bennechenom, tego nie mogła zrozumieć. Krystyna była zdrową, rozsądną wiejską dziewczyną, posiadającą doskonałą świadomość tego, jaka przepaść istnieje między synem ministra a wieśniaczką.

Tymczasem zaniepokoiła się, gdy i naczelnik pilotów wyjechał z temi samemi ostrzeżeniami i radami w swoim liście.

Ale co miała począć?

Wobec kandydata była tak mało uprzejmą, jak to tylko było możliwem; a poważnemu, przystojnemu doktorowi nie mogła przecież powiedzieć wprost, aby nie przychodził, tem więcej, że przecież przychodził tak rzadko. Zaczęła liczyć: nie rozmawiała z nim już prawie przez dwa tygodnie.

Stryj Anders był taki dziwaczny; nie mogła go jakoś pojąć; uprzejmy był coprawda zawsze, mimo to jednak odczuwała przed nim coś w rodzaju obawy.

Niekiedy wieczorem — wracał zawsze późno do domu — gdy przechodził przez jej pokój, siadał na jej łóżku i rozmawiał przez chwilę. Ale nie zawsze rozumiała, co mówił — albo była śpiąca, albo też stryj był zmęczony wieczorem i mówił tak niejasno; głaskał ją jednak bardzo przyjaźnie po twarzy, gdy mówił „dobranoc".

Doktor Bennechen nie miewał szczęścia, gdy szedł odwiedzać Krystynę.

Chęć miał coprawda co dnia, ale obawiał się spotkania z Alfredem. I z Andersem nie byłby się chętnie spotkał, a przy tych wycieczkach odczuwał coś jakby wyrzuty sumienia, tak jakgdyby w istocie miał zamiar uczynić coś złego.

Kończyło się też zwykle na tem, że przechodził obok i zaglądał na dół przez okna, albo też szedł na górę odwiedzić matkę w tej nadziei, że spotka Krystynę w bramie, na schodach, albo też gdzieindziej.

Był mianowicie w niej zakochany i wiedział o tem doskonale.

Mimo to jednak nie bardzo był z tego zadowolony, jak to zwykle się dzieje u tych, którym zakochanie się przebiega po żyłach jak gorący strumień.

Po pierwsze nie miał jeszcze wcale pewności co do tego, jakie wrażenie wywarł na Krystynie. Sądził, że ona, tak zdrowa i tak pięknie zbudowana, musiała odczuwać jakąś antypatję do takiego kaleki jak on. Doktor myślał sam że więcej chromał, niż to było w rzeczy samej.

Prócz tego był jeszcze zazdrosny o Alfreda; zacięcie, bez słów, ale szalenie był zazdrosny o tego brata, który mu zawsze stał w drodze, którego psuto i pieszczono na wszystkie strony, za którego grzechy musiał niejednokrotnie pokutować w ciągu lat.

W końcu posiadał Jan Bennechen, jakąś tajoną, przykrą nieufność do samego siebie i do swego szczęścia wogóle. Był zawsze nieszczęśliwym, i opowiadano mu zawsze, że żył nim w istocie.

Dlatego przywiązał się do swej miłości, która rosła w nim nieustannie, jak się ktoś przywiązuje do chorego dziecka.

Całą swoją istotę otulił w tę potężną namiętność, nie myśląc wcale o oporze. I nosił swoją miłość dobrze ukrytą w swej poczciwej piersi z cichą, niejasną radością, podczas gdy nie miał wielkiej ufności w to, że z tego może powstać coś dobrego.

Ale zgrozą mogłoby go także przejąć i to, nawet w najszczęśliwszym razie, gdyby się Krystynie podobał rzeczywiście.

Coby powiedziała na to pani ministrowa? I gdyby nawet mógł pomyśleć o tem, że jednak przełamie opór matki, skąd kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, aby stanąć przed ojcem i wyznać mu, że się chce żenić z prostą wiejską dziewczyną?

Ten ojciec, taki elegancki i taki imponujący, był w oczach Jana uosobieniem wszystkiego honorowego, wspaniałego i wzniosłego.

Gdy pisma opozycyjne rzucały się na rząd, doktor czytając artykuły wyłączał z nich po cichu osobę ojca. Nie było coprawda rzeczą niemożliwą, że w rządzie znajdowali się ludzie, którzy wywoływali krytykę; aby jednak można było coś zarzucić ministrowi Bennechenowi, to mu nigdy na myśl nie przyszło.

Podczas gdy matka całą swoją troskliwością otaczała przystojnego Alfreda i tylko niewiele pozostawało jej dla obojga „nieudałych", jak nazywała Hildę i Jana, ojciec w swem zachowaniu się był dla wszystkich dzieci mniej więcej jednakowym, zdarzało się nawet nieraz, że odważył się na słabą opozycję wobec żony, gdy ta zanadto rozpieszczała Alfreda.

To wystarczało już Janowi, który w ten sposób nie był zepsutym, a im starszym się stawał, tem więcej rósł jego szacunek dla ojca, szacunek, który w końcu stał się niemal jego wyznaniem wiary. Ale właśnie najgłówniejszym przymiotem ojca, jego zasadą życiową było: wzniosłość, elegancja, poprawność — któreby naruszył, zniweczył nawet, myśląc o takim idjotyczym związku z wielką, czerwonowłosą dziewczyną wiejską.

Jan pomyślał sobie, coby powiedział jego ojciec, gdyby przeczuł, jakie głupstwo chce palnąć jego najstarszy syn. Przecież dopiero po długich pertraktacjach pozwolono mu zająć stanowisko lekarza ubogich w odległej dzielnicy miasta, a co to było w porównaniu z tem, co teraz uczynić zamierzał?!

Za każdym razem jednak, gdy doktor w swoich myślach zaszedł tak daleko, było coś w rodzaju uspokojenia, gdy mówił do siebie:

— Tak, tak, nie warto się wcale nad tem zastanawiać; ona się wcale o mnie nie troszczy!

IX.

Mortensen objąwszy kierownictwo *Przyjaciela ludu*, zamienił także jego nazwę na *Prawdziwego przyjaciela ludu*, a na miejsce dość skromnego wyposażenia za czasów starego Hansena, otrzymał teraz piękny papier i nowe czcionki.

Ilustracje natomiast przez pewien czas pozostały na dawniejszem ograniczonem stanowisku: czarne plamy z białemi. Pewnego dnia jednak zawiadomił redaktor swych abonentów, że ilustracje, począwszy od kwartału przestaną się ukazywać.

Wskutek tego pismo straciło mnóstwo biedniejszych ludzi, mimo to jednak Mortensen był zadowolony. *Prawdziwy przyjaciel ludu* zyskał wkrótce nowe koła czytelników, a pod względem finansowym zdawało się, iż przeszedł wszelkie oczekiwania.

Gdy Mortensen przynosił rano gazetę do ministerstwa, czytał ją najmłodszy w biurze, „jeżeli czas na to pozwalał".

I tak referendarz Hierth właśnie kończył czytanie jakiegoś wstępnego artykułu, w którym dowodzono niemożliwości ustanowienia, co i kto ma być rozumianym dziś pod wyrażeniem *lud* — na pierwszem miejscu powinien to być stan urzędniczy, który tworzy szpik narodu — gdy Falck-Olsen wszedł do jednego z pierwszych pokojów i zapytał się o ministra.

Podczas gdy jeden z urzędników wskazał kupcowi pokój ministra, koło słuchaczy, zebrane dokoła *Prawdziwego przyjaciela ludu* rozprysło się: każdy udał się na swoje miejsce i zagłębił się w stosie papierów.

Tylko stary Hansen nie poruszył się. Udawał zawsze, że nie słucha tych prelekcyj, co mu tymczasem nie wiele pomagało. Jeżeli bowiem przychodziło coś, co jak wiedziano, starego może rozgniewać, wrzeszczano mu nad samem uchem. Stary Hansen stał się ostrzegającym przykładem dla młodych urzędników w ministerstwie, na którym można było dokładnie widzieć, dokąd to prowadzi, gdy się posiada jakieś swoje odrębne zapatrywania. Wszyscy wiedzieli, że nie posuwał się w górę.

Siedział oto, z twarzą odwróconą do ściany, grzebiąc w jakichś aktach, i miał tak siedzieć aż do chwili, w której go włożą do trumny, jeżeli go przedtem jeszcze nie trzeba będzie wypędzić; stary Hansen pił bowiem — przynajmniej tak sobie zaczęto szeptać w ostatnich czasach.

Minister, ujrzawszy wchodzącego swego przyjaciela Falck-Olsena, domyślił się, iż rozmowa toczyć się będzie o interesach; takie rozmowy były dla niego wogóle bardzo przykre.

Dlatego też zapytał wesoło, czy Falck-Olsen nie przychodzi wypadkiem zaprosić go na polowanie; był to cichy, jasny dzień zimowy z lekkim przymrozkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiadomości artystyczne i literackie.

Sylwetę literacką znanego satyryka naszego M. Rodocia zamieszcza petersburski „Kraj“ w ostatnim numerze.

Interwiew z Sienkiewiczem miał w ostatnich dniach współpracownik „Gońca łódzkiego“. Znakomity autor „Quo vadis“ zwierzył się przed dziennikarzem, że udaje się do Nizzy jedynie dla wypoczynku, gdyż czuje się zupełnie zdrów. Na zapytanie, czy „Krzyżaków“ doprowadzi do bitwy pod Grunwaldem, — odpowiedział S., że pójdzie nawet dalej, bo do bitwy pod Koronowem, która jak wiadomo, zamyka pamiętną kampanję pierwszego z Jagiellonów. Wreszcie oświadczył Sienkiewicz, że zamierza w najbliższej przyszłości napisać dwie nowe powieści: współczesno-obyczajowe.

„Adam Mickiewicz. Gli Dziady. Il Conrado Vallenrode“. „Poesie varie“. Książka pod powyższym tytułem wyszła świeżo w Turynie, nakładem firmy: Roux et Frassati. Tłómaczenia poezyj naszego wieszcza na język Dantego dokonał p. Ungheri.

Bogate materjały do encyklopedyi muzycznej pozostawił zmarły przed kilku dniami w Warszawie muzyk śp. prof. Józef Nowakowski. Możeby warto było papiery te uporządkować, a następnie ogłosić drukiem?

„Towarzyszki życia“, sztuka E. Grabowieckiego, laureata sceny lwowskiej, — będzie w przyszłym tygodniu wystawioną w Warszawie, w teatrze „Rozmaitości“.

„N. Żurnał inostrannoj literatury“ zamieszcza w ostatnim numerze ciekawy i dobrze napisany artykuł: o Al. Fredrze, pt. „Polskij Molier“.

„Politik“ zamieściła przekład noweli Sienkiewiczowskiej pt. „Organista z Ponikły“.

Dużego powodzenia doznała w Krakowie sztuka, osnuta na poważnem tle patrjotycznem pt. „Tamten“, którą napisał podobno jakiś znany autor, ukrywający się pod pseudonimem Mascoffa.

W dniu 1. b. m. upłynął termin nadsyłania utworów beletrystycznych na konkurs warsz. „Głosu“. Nadesłano 42 utworów, z których jeden został wycofany, jako nieodpowiadający warunkom konkursu.

Jednoaktówkę Cavalottiego (który zginął w zesztym tygodniu w pojedynku) pt. „Córka Jefftego“ wystawi wkrótce w polskim przekładzie teatr „Rozmaitości“ w Warszawie.

W Berlinie zawiązał się komitet, celem wystawienia pomnika Ryszardowi Wagnerowi.

Puccini twórca „La Bohême“ napisał nową operę pt. „Tosca“, która będzie wystawioną jeszcze w bieżącym sezonie w Rzymie.

Miasto Paryż ogłosiło ciekawy konkurs dla francuskich kompozytorów. Nagroda wynosi 10.000 fr. za najlepsze dzieło symfoniczne lub operowe. Miasto obowiązuje się subwencjonować wystawienie nagrodzonego dzieła sumą poważną, bo 15.000 fr.

„Z burz życia“, sztukę młodego autora T. Konczyńskiego, krakowianina, wystawił teatr Wołowskiego w Łodzi.

Bracia Reszkowie rozpoczynają występy w Petersburgu 18. bm. operą R. Wagnera: „Lohengrin“.

Na posiedzeniu wydziału hist.-literackiego Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu odczytał 2. bm. hr. W. Czarnecki z Gogolewa oryginalną rzecz na temat: „Gordarik“ czyli państwo Azów od Elby do Wołgi i wytłómaczenie Eddy, jako kryptogramu litewsko-skandynawskiego. Prelegent usiłował dowieść, że zanim Edda pojawiła się była w językach: islandzkim i skandynawskim napisaną została prawdopodobnie w języku litosłowiańskim i że bohaterowie jej, to nie Teutoni, lecz Słowianie.

